GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LUTEGO 1937 R.

Nr. 4 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 4
1937 R.
15 — II

STEFAN MEYER

GOSPODARKA BEZPLANOWA

„O ile liberalizm ma się stać bezplanowością, to grozi zmarnowaniem wysiików społeczeństwa".

Gospodarka, zarówno w zakresie państwowym, jak i w granicach jednostkowego przedsiębiorstwa, może być bądź planowa, bądź też może decyzje poruczać temu częstokroć nieuchwytnemu splotowi przyczyn, które wpływają na psychikę decydującego, a wymierzonemi, wyważonemi być nie mogą; zwie je wówczas mąż stanu: „imponderabiliami", a człowiek z ulicy: „przypadkiem". Ten, kto ma plan, zmusza siebie i innych do wykonania tego planu, nagina okoliczności do swej woli, ogranicza swobodę swoją i cudzą. Ten, kto ulega nieprzewidzianym okolicznościom, pozostawia innym złudzenie swobody. Dlatego też, taka gospodarka, w której każdy wpływać może na decyzje wszystkich, zwie się „liberalną".

Zdawałoby się, że istnieją tylko te dwie możliwości: albo przymus, albo swoboda; więc gospodarka, albo planowa, albo liberalna; jednakże życie jest nielogicznym i „tertium datur".

Gospodarka planowa jest niepopularna; jest obarczona grzechem pierworodnym i dlatego nazwa jej stała się straszakiem jakobińsko - bolszewickim. Poza tem wszelki przymus wyraźny, ujęty w formy rozkazu jest zawsze mniej przyjemny, od przymusu ujętego w formę konieczności gospodarczej, przysłoniętej pozorem swobodnej decyzji. Dlatego niby nie widzimy, że dziś o jednokolumnowym planie nikt już nie myśli, że plan dwukolumnowy należy do pierwocin. że planowanie w granicach gospodarki narodowej może być dokonywane jedynie wg. schematu trzykolumnowego: przewidywanej możliwie najwyższej produkcji każdego dobra, w zależności od surowców i zdolności produkcyjnej, stojących do dyspozycji; przewidywanej najniższej produkcji, w zależności od tych potrzeb, których nie da się pokryć towarami zastępczymi, oraz przewidywanej najkorzystniejszej produkcji, zależnej od konkretnych interesów poszczególnych warsztatów produkujących i konsumujących dane dobra. Tu, przy planowaniu trzeciej kolumny, najłatwiej o omyłki, gdyż tu gra czynnik bardzo wśród planowców niepopularny: gust konsumującej publiczności. To też planowanie, jako narzucanie publiczności pewnych potrzeb i gustów, musiało i słusznie wywołać niepopularność pierwocin planowania.

Czyżby pierwocin? Bo przecież tam, gdzie gust kupującej ulicy nie odgrywa roli, przy określaniu zapotrzebowania na pewne surowce, planowanie już dawno było w pełnym toku. Choćby coroczne wspólne zakupy cementu, lub kartofli, przez kopalnie na Górnym Śląsku, dokonywane w okresie, gdy nie śniło się Ślązakom nie tylko o „gospodarce planowej", lecz nawet o polskim panowaniu. Albo zakupy szyn przez Min. Komunikacji, albo na lata naprzód układane programy budowy mostów i w związku z tem podział konstrukcji żelaznych pomiędzy odpowiednie zakłady. Przecież niczem innem, jak gospodarką planową, jest działalność przemysłowa „Związku Koksowni", oparta na przetwarzaniu surowca, którego dostawa i zbyt są ilościowo i wartościowo określone, zarówno, jak i zbyt gotowych produktów. Tam, gdzie od-

[1]) Spis niniejszy zawiera nazwiska wyłącznie autorów członków klubu „Gospodarka Narodowa", którzy zamieszczali swe artykuły w roku 1936.

biorcą nie jest rynek, a przeliczalna grupa odbiorców, tam gdzie koncentracja produkcji dochodzi do monopoli i monopoloidów, tam wszędzie pewna programowość powstaje sama i sama wbrew woli i wiedzy dysponentów narzuca się całym gałęziom wytwórczości.

Jednakże, jakeśmy rzekli, planowość, nawet jeśli korzystna, jest niepopularna. Wszyscy gotowiśmy podpisać się pod słowami Katarzyny Wielkiej: „Freiheit, du Seele aller Dinge, ohne dich ist Alles todt." i dlatego bronić będziemy gospodarki liberalnej. Nawet gdy nas okoliczności zewnętrzne zmuszają do ograniczania swobody obywateli, będziemy to robili stopniowo, bez radykalnych posunięć, bez decyzji bijących w utrwalone tradycją formy.

To też nie decydujemy się na przymus produkcji towaru, którego rynek ze względu na ceny byłby nie brał; dlatego nie ma przepisów, zmuszających do konsumcji niepożądanych surowców czy półproduktów. Dlatego działalność „człowieka z ulicy" regulowana jest nie rozkazem, a propagandą. Dlatego, zamiast obowiązkowych opłat, podrażających wszelkie świadczenia, mamy opłaty „dobrowolne", od uiszczenia których nie można się w żaden sposób uchylić. Sukces pożyczki „Narodowej", czy „3% Inwestycyjnej" jest dowodem, że propaganda może być co najmniej równie skuteczną, jak przymus.

Wspomniane powyżej operacje finansowe, aczkolwiek w formie całkowicie „liberalne", w treści swej są wyraźnie etapem gospodarki o tyle planowej, o ile użycie zdobytych tą drogą środków było równie starannie przygotowane, jak ich zdobycie. Bo planowość gospodarki nie leży w formie, ale w treści planowania działalności gospodarczej całego narodu. Pozwolę sobie znowu zacytować Semiramidę Północy, która umiała istotne intencje ukrywać pod formą miłą dla otoczenia: „Souvent il vaut mieux inspirer que commander...". Jakżeż więc to jest istotnie u nas z liberalizmem, a jak z planowością?

Inicjatywa prywatna nie jest hamowana wyraźnym zastrzeżeniem wielu terenów działalności gospodarczej dla państwa; natomiast działa tu fiskalizm, łowiący ryby przed niewodem, działa system podatkowy, oparty na hamowaniu obrotu i koszeniu dochodów buchalteryjnie istniejących, zanim przybrały formę płynnej, dojrzałej do zebrania, nadwartości. Jeżeli więc płynie w żyłach polskich indolencja, to szanse są o tyle wyrównane, że rasowo obce elementy też boją się inwestować tam, gdzie obrót jest powolny, lub upłynnianie utrudnione. Skutkiem jest kierowanie kapitałów i inicjatywy do interesów na krótką metę, do interesów spekulacyjnych. To też pewne zakłady przemysłowe nie powstawały, dopóki rząd namawiał tylko do ich budowy. Powstały, gdy rząd sam je zbudował. Co prawda w tym konkretnym wypadku, o którym dziś się mówi, żaden prywatny nakładca nie miałby dostatecznej egzekutywy, by zapewnić sobie niezbędne tereny.

W układzie gospodarki wolnej istnieje tylko jedna sankcja. Jedna ale skuteczna. Jest nią bankructwo. W razie nadprodukcji jakiegoś dobra, nadprodukcji względnej ma się rozumieć, muszą najsłabsze zakłady tej branży upaść, wskutek spadku cen, a nowa równowaga ustala się przy mniejszej ilości producentów. Otóż ten system działa w Polsce zaledwie częściowo. Powyżej pewnej wielkości przedsiębiorstwa nie bankrutują. Jeżeli więc nie ma przymusu produkcji towaru w imię potrzeb narodowych, to istnieje ten przymus w imię utrzymania stanu zatrudnienia. Przy czem, nawiasem powiedziawszy, to utrzymanie ma wiele cech beznadziejności zarówno dla przedsiębiorcy, który w najlepszych chwilach zaledwie wiąże koniec z końcem, jak dla zatrudnionych, którzy pracują na bardzo grząskim gruncie, z minimalną nadzieją na normalny w ustroju liberalnym awans społeczny. Owa petryfikacja starzejących się przedsiębiorstw nie jest gospodarką liberalną. Czyżby była planową?

Albo na odwrót: plan zastąpienia importu zamorskich surowców nasunął konieczność rozbudowy produkcji surowców zastępczych krajowych. Produkcja jest nierentowna, ale przy pewnych cenach może być utrzymana. Tym razem przemysłowiec ulega namowom, nie rozkazom, rządu i inwestuje około 5-ciu milionów. Wtedy zjawia się możliwość zakupu tegoż surowca zastępczego w kompensacie i to po cenach znacznie niższych od kosztów polskiej produkcji. Świetna okazja do eksportu wychodzących w kompensacie towarów. Świetny zakup, bo tani i bez obciążania zapasu wolnych dewiz. W myśl zasad gospodarki liberalnej, wolnorynkowej, należy dokonać tak korzystną transakcję. Skutkiem, zgoła nieoczekiwanym przez inicjatorów, co chcą w myśl doktryn liberalnych prowadzić gospodarkę planową, jest unieruchomienie kosztownej inwestycji.

Inny przykład. Monopol handlu zagranicznego ma bardzo wielkie wady, — w porównaniu z wolnym obrotem międzynarodowym. Daje on jednak niewątpliwe korzyści, których dzisiejszy system administrowania handlem zagranicznym nie ma. System dzisiejszy ma jednak wszelkie wady monopolu, zwielokrotnione przez mnogość pozornie samodzielnych instytucyj i różnorakość instancji. Jest więc pozór gospodarki liberalnej; nie ma znienawidzonego „planowego" „Wniesztorgu", ale pozór przypomina nie tyle pustą skorupkę jajka, co ową przysłowiową żabę, którą dwóch łazików połknęło, aby ożywić obrót gospodarczy.

To też dzisiaj w Polsce jednocześnie walczymy z etatyzmem i układamy program sandomierskiego ośrodka. Jednocześnie i „plan" i „liberalizm". A może ani jedno ani drugie?

Jedyny termin, jaki możnaby w tych warunkach zastosować, to termin podany w tytule.

Co nas drożej kosztuje: gospodarka liberalna, gospodarka planowa, czy gospodarka bezplanowa?

MARIAN RAWICZ

„POBRZĘKIWANIE NOŻYC"

Zniknięcie „fetysza" nożyc nie oznacza zniknięcia samych nożyc. Pomimo wszelkich możliwych wad w obliczaniu wskaźników cen można twierdzić, że jeśli nożyce brzęczą, to znaczy, że istnieją.

Ukazanie się artykułu prof. E. Lipińskiego na temat ogłaszanego od kilku lat przez Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen wskaźnika stosunku cen artykułów sprzedawanych i nabywanych przez rolników odbiło się już głośnym echem w prasie, stanowiąc okazję do tryumfalnych wypowiedzi obrońców wysokich cen przemysłowych. Przyznajemy szczerze, że jesteśmy nieco zakłopotani tym obrotem sprawy, nie sądzimy bowiem, aby wspomniany artykuł mógł być pomyślany inaczej, jak artykuł dyskusyjny, jego zaś niezbyt szczęśliwe ukazanie się w formie załącznika do tablic statystycznych pozwoliło na przedwczesne wyciąganie wniosków niezgodnych — jak mniemamy — z intencjami autora. Jesteśmy zakłopotani jeszcze i z tego powodu, że w świetle dotychczasowych wypowiedzi prasowych dla wszystkich stało się jakoby jasnem, że dotychczasowy kierunek polityki gospodarczej na odcinku cen rolnych i przemysłowych po zakwestionowaniu wspomnianego wskaźnika okazał się całkowicie błędnym „Fetysz" nożyc dokonywał cudów. Przyznać trzeba, że podobne stwierdzenie napawa nas głębokim lękiem przed dalszą dyskusją na temat jakiegokolwiek wskaźnika, teoretycznie bowiem może ona pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje na przyszłość w postaci ponownego fałszywego nastawienia polityki gospodarczej na okres najbliższych kilku lat. Przezwyciężając ów lęk, starajmy się jednak zanalizować po krótce tezy wspomnianego artykuły w płaszczyźnie tych uwag krytycznych, które w stosunku do ogłaszanego wskaźnika postawione zostały.

Z generalnym stwierdzeniem autora artykułu, że żadne w ogóle „nożyce cen" nie mogą być miarą sytuacji rolnika, oczywiście wypada się zgodzić. Dotychczasowy wskaźnik stosunku cen artykułów sprzedawanych i nabywanych nie może być rzeczywiście uważany za uniwersalny instrument do mierzenia sytuacji rolnictwa, gdyby jednak za taki był uważany, to niewątpliwie ze szkodą dla prawdy obiektywnej, gdyż sytuacja rolnictwa w okresie kryzysu była bardziej niepomyślna, niż to z cyfr wskaźnika wynika. Wskaźnik obejmuje zarówno po stronie przychodu jak i rozchodu rolnika tylko część pozycyj i to w znacznym uproszczeniu (tj. poprzez wahania cen), nie obejmuje zaś utargu, który spadał równocześnie z cenami ze względu na zmniejszenie się ilości artykułów rolnych sprzedawanych na rynku (zwłaszcza hodowlanych). Drugim czynnikiem, który wpływał na szybszy spadek całości przychodów był bardzo poważny spadek zarobków ubocznych rolnika. Po stronie rozchodowej natomiast, poza wydatkami na nabycie mniejszych ilości artykułów przemysłowych po stosunkowo wysokich cenach, figurują też inne pozycje sztywne (podatki, świadczenia, procenty, długi, czynsze), które sprawiają, że ogólna sytuacja rolnika jest gorsza, niż to wynika z samego stosunku cen artykułów sprzedawanych i nabywanych. Przypuszczać trzeba, że ani w czasie konstruowania tego wskaźnika nie chodziło o wynalezienie takiego uniwersalnego instrumentu do mierzenia ogólnej sytuacji rolnictwa, ani też na przyszłość nie wydaje się to możliwe. Podkreślić jeszcze trzeba, że i z innego powodu dotychczasowy wskaźnik nie jest doskonały. Chodzi bowiem o to, że z cenami płaconemi bezpośrednio rolnikom za artykuły rolne porównywać by należało ceny detaliczne a nie hurtowe, płacone za artykuły nabywane. Ze względów technicznych nie było to możliwe i zdaje się — że nie będzie. O tym mankamencie wzmianki w uwagach krytycznych niestety nie znajdujemy; a szkoda, bo poziom tak skonstruowanego wskaźnika cen artykułów nabywanych okazałby się wyższy.

Jeśli chodzi o zakres artykułów objętych przez wskaźnik artykułów nabywanych, to był on obliczany jako ważona średnia arytmetyczna szeregu wskaźników grupowych Instytutu, przy czem wagi obliczono według danych Instytutu Puławskiego o spożyciu ludności wiejskiej za rok 1927/28 średnio dla gospodarstw 2 — 50 ha. Proponowane zatem przez prof. Lipińskiego uzupełnienie listy artykułów nabywanych przez dodanie mięsa, tłuszczów, mąki i pieczywa nie wydaje się słusznym, gdyż artykuły te w masie gospodarstw włościańskich nie należą do grupy artykułów nabywanych na rynku, jako artykuły produkowane w samym warsztacie. Co do nasion i pasz treściwych, to mieszczą się one już w pozycji artykułów zużywanych na cele produkcyjne (waga wartościowa 26,4%). Wreszcie, jeśli chodzi o inwestycje w budynkach, to zachodzi tu również nieporozumienie, gdyż wskaźnik je uwzględnia (mineralne materiały budowlane — waga wartościowa 2,6%, drewno tarte, sosnowe — 2,6%). Oczywiście można tu mieć na myśli jedynie drobne coroczne naprawy budynków, a nie jakieś kapitalne inwestycje, które w normalnym rocznym budżecie rolnika się nie mieszczą. Torf ma znaczenie czysto lokalne i jako produkt zastępczy nie powinien być uwzględniany (waga dla węgla 2,0%); tak więc z listy dodatkowej artykułów, którymi należy jakoby uzupełnić wskaźnik, pozostałoby jedynie drewno opałowe.

*

Przechodzimy do następnej grupy zarzutów, dotyczącej wyboru samej podstawy wskaźnika. Zdajemy sobie sprawę z tego, że wybór właściwej podstawy jest rzeczą bardzo trudną, nie sądzimy jednak, aby można było bez zastrzeżeń skonstatować, że „podstawa wskaźnika musi być uznana za błędną". Rok

1928 nie był bowiem rokiem najwyższych cen; ceny artykułów roślinnych osiągnęły najwyższy poziom w 1927 roku (przeciętne roczne ceny żyta na giełdzie poznańskiej w 1927 r. — 42,5, 1928 — 40,9, 1929 — 28,4), natomiast ceny artykułów hodowlanych — w 1929 r. Rok podstawowy był więc przeciętnym rokiem okresu dobrej koniunktury. Przyjąwszy nawet, że jest to rok wyjątkowo wysokich cen artykułów rolnych na przestrzeni kilkudziesięciu ostatnich lat, nie wynika stąd, aby w roku tym sam stosunek cen artykułów sprzedawanych i nabywanych był tak wyjątkowo korzystny dla rolnictwa. Tak np. w 1913 — 14 roku (roku niższych cen rolnych niż w 1928) 1 kg tytoniu stanowił równowartość 115 kg żyta, a w 1928/9 — 190; podobnie 10 kg mydła — 51 i 64 kg żyta, 10 litrów nafty — 13 i 18 kg, 10 kg soli — 6 i 10 kg, 10 m madapolamu — 61 i 67 kg żyta. Zarazem uwzględnić należy zmianę warunków pracy rolnictwa, niewątpliwie bowiem koszty produkcji w porównaniu z okresem przedwojennym poważnie wzrosły z tytułu wzrostu cen kredytu, podatków i świadczeń. Sprawa takiego czy innego tempa wzrostu cen rolnych i przemysłowych również niczego jeszcze nie przesądza. Podawana różnica tempa wzrostu artykułów rolnych i przemysłowych od 1922 r. do 1928 r. (przy cenach wyrażonych w złocie i podstawie dziesięcioletniej) nie może się ostać jako argument dyskwalifikujący podstawę 1928 r. Okres 1922 — 24 był okresem inflacyjnego wzrostu cen, natomiast sam 1925 — rokiem klęskowego nieurodzaju. Wzrost artykułów przemysłowych w złocie pomimo trwającej inflacji odbył się jeszcze w 1923 r.; wzrost cen rolnych w złocie nastąpił natomiast w roku 1924, przy czem wzrost ten między 1923 i 24 wyniósł prawie 55%. To, że od 1922 r. do 1928 r. tempo wzrostu cen rolnych było znacznie szybsze od tempa wzrostu cen przemysłowych, a zatem że w roku 1928 stosunek tych cen był jakimś stanem nienormalnym, niczego jeszcze nie dowodzi przy tej metodzie obliczeń. Można by na podstawie tej metody i tego sposobu rozumowania wysnuć paradoksalny wniosek, że ponieważ ceny rolne w okresie 1922 — 1925 wzrosły jeszcze silniej, bo o 70,7%, a nożyce były też rozwarte na korzyść rolnictwa, sytuacja rolnictwa w roku tym była również doskonała. Okres, w którym w ciągu sześciu lat na dziesięć mamy do czynienia z hiperinflacją, stabilizacją i dewaluacją najmniej się nadaje do snucia wniosków o sytuacji jednej gałęzi gospodarstwa tylko na podstawie ruchu cen w złocie, bez bliższej analizy ekonomicznej.

Wydawać się nie bez słuszności może, że o wiele łatwiejszą rzeczą jest krytyka dotychczasowej podstawy, niż znalezienie innej, oczywiście obiektywnie lepszej. Tak więc proponowana przez prof. Lipińskiego podstawa dziesięcioletnia dla nowego wskaźnika zdaje się być nie do przyjęcia; lata 1922—27 stanowią okres powojennej regeneracji rolnictwa w niesłychanie trudnych warunkach, zakłócanych perturbacjami walutowemi i paczonych polityką prokonsumencką. Pozostałe lata dziesięciolecia pokrywają się z drugą propozycją autora, tj. okresem czteroletnim 1928 — 31. Przypuszczać jednak można, że rolnicy będą mieli w tym wypadku powód do żywych protestów, okres ten bowiem składa się wyłącznie z lat, w których ceny zbóż zniżkowały. Jeśli chodzi o otrzymany wskaźnik na podstawie dziesięcioletniej (0,88), to niestety nie może on być miarodajny a w każdym razie nie może być porównywany z dotychczasowym wskaźnikiem nożyc. Jak bardzo rezultaty otrzymane mogą się różnić między sobą z tytuły już nie samej podstawy, ale budowy wskaźnika, świadczy opinia samego Instytutu Badania Koniunktur (Prace I. B. K. i C. 1932, zesz. 1). Porównując wskaźniki cen rolnych i przemysłowych G. U. S. w tym okresie oraz wskaźniki cen artykułów nabywanych i sprzedawanych, doc. J. Wiśniewski otrzymuje dwukrotnie większą różnicę cen na niekorzyść rolnictwa przy zastosowaniu wskaźnik I. B. K. i C.; cytowany autor tłumaczy jednocześnie przyczyny niedostatecznej użyteczności do tego celu wskaźników G. U. S.: 1-o wskaźnik artykułów rolnych obejmuje mąkę, mięso i wytwory przemysłu rolnego, które taniały znacznie wolniej od surowców rolnych i które nie wpływają bezpośrednio na wahania siły nabywczej rolnictwa. To też we wskaźniku artykułów sprzedawanych zostały one pominięte. 2-o wskaźnik cen artykułów przemysłowych nie nadaje się jako wskaźnik cen artykułów przez rolnictwo nabywanych, gdyż w rzeczywistości (jak wskazuje spożycie) „silniejszą reprezentację posiadają bardziej uszlachetnione wytwory, których ceny ujawniały mniejszy spadek i — co ważniejsze — artykuły skartelizowane. Przy cenach z r. 1928 wagę artykułów skartelizowanych i zmonopolizowanych we wskaźniku cen artykułów przemysłowych obliczyć można na 19%, we wskaźniku artykułów nabywanych przez rolników natomiast na 33%. Wiadomą zaś jest rzeczą, że od roku 1928 ceny artykułów skartelizowanych nie tylko nie spadły, ale nawet wzrosły". Uwagi te z pewnymi odchyleniami możnaby zastosować do wskaźnika artykułów rolnych i przemysłowych I. B. K. i C.

Tak więc stosunek 0,88 jest stosunkiem wyższym od dotychczas ogłaszanego nie tylko dlatego, że zmieniono podstawę, ale i dlatego, że w ogóle jest innym wskaźnikiem. W braku zastrzeżeń w tym względzie wyciągane być mogą z porównania tych stosunków fałszywe wnioski, jak to w rzeczywistości miało już miejsce. Niestety zastrzeżenia te poczynione nie zostały.

Powyższe uwagi dotyczą również zacytowanego przez autora stosunku cen równego 1,00 (grudzień 1936) przy podstawie 1922 r., przy czem przykład ten musimy traktować już zupełnie nawiasowo, gdyż sam autor o kilka wierszy wyżej stwierdza, że rok ten może być traktowany jako właściwa podstawa do obliczeń. Nie rozumiemy jednak w takim razie potrzeby cytowania podobnego przykładu: z równym powodzeniem można by prawdopodobnie znaleźć podstawę, przy której obecny stosunek wyniósłby np. 1,5.

Reasumując stwierdzić należy, że zarówno krytyka budowy wskaźnika stosunku cen, jak i dotychczasowej podstawy nasuwa szereg poważnych wątpliwości. Obawiać się można, że chęć innego uchwycenia statystycznego faktu istnienia nożyc cen może nie dać lepszych rezultatów. Krytyczny stosunek do cyfr wskaźnikowych jest oczywiście konieczny i pod tym

warunkiem dotychczasowy wskaźnik spełniał swoje zadanie. Podstawa 1928 r. poza jej właściwościami dodatniemi czy ujemnemi miała charakter umowny przez sam fakt, że rok ten stanowi podstawę dla wszystkich wskaźników Instytutu.

Na tem zamkniemy powyższe rozważania odnoszące się do części statystycznej artykułu. Teoretycznym, niesłychanie interesującym, a nawet rewelacyjnym wywodom części drugiej wypadnie poświęcić jeszcze nieco miejsca.

STANISŁAW RZĘBOWSKI

„Jest cechą przedsiębiorców, że gdy rozpoczyna się faza ożywienia — zapominają o wszystkich swych doświadczeniach z okresu depresji“ (notatki z wykładów prof. E. Lipińskiego z r. 1926).

Problem „nożyc ceny“, t.j. rozpiętości między cenami rolnemi i przemysłowemi, był przez czas dłuższy jednym z centralnych i najbardziej aktualnych problemów naszej polityki gospodarczej, następnie zdezaktualizował się i zdepopularyzował, wreszcie ostatnio wszedł ponownie na warsztat publicystyczny, w związku ze znanym artykułem prof. E. Lipińskiego. Prof. Lipiński zakwestionował, a nawet — mówimy to mając na uwadze wysoki autoryter naukowy autora — możnaby twierdzić, że podważył poprawność metody statystycznej, przy pomocy której obliczano wskaźniki cen artykułów, przez rolnika nabywanych i sprzedawanych, oraz sformułował szereg zastrzeżeń co do wniosków, jakie można ze zjawiska „nożyc“ wyciągać. Posłużyło to niektórym publicystom za asumpt do twierdzenia, że zjawisko „nożyc“ w ogóle nie istnieje, względnie nie posiada przypisywanego mu powszechnie znaczenia polityczno - gospodarczego. Sądzimy, iż tego rodzaju wniosków *polityczno - gospodarczych* nie wolno wysnuwać z wywodów czysto *techniczno - statystycznych,* byłoby to bowiem negowaniem faktów zupełnie niewątpliwych i przeszkadzałoby czerpaniu nauki z doświadczeń niedawno minionej przeszłości.

Praktycznie biorąc, wszelki *wskaźnik,* ilustrujący przebieg jakiegoś nieco bardziej złożonego zjawiska — musi być niedoskonały. Niebezpiecznem byłoby uważanie wskaźników za zupełnie precyzyjną przesłankę i posiłkowanie się nimi jako czemś więcej aniżeli materiał orientacyjny, którego trzeba używać przy akompaniamencie szeregu zastrzeżeń i uzupełnień. Operując wskaźnikami, wysnuwać z nich można tylko te wnioski, które mieszczą się w *granicach błędu* samychże owych wskaźników.

Wiedzieli o tem i wiedzą wszyscy, którzy bliżej interesują się zagadnieniami statystycznymi i ekonomicznymi. Jeżeli nie powtarzano tego w każdej poważnej pracy publicystycznej — to jedynie w pełnej świadomości, że granice błędu wskaźnika nie są przekraczane przy wyciąganiu wniosków z dynamiki wskaźnika. Wiadomo też było powszechnie, że „koszyk towarów“, użyty dla zbudowania wskaźników cen towarów nabywanych i sprzedawanych przez rolnika, nie jest i nie może być doskonały — bo jeżeli by nawet był nim w r. 1928, to przestałby nim być w r. 1937, i vice versa. Obecnie prof. Lipiński wskazuje, że niedoskonałość tych „koszyków“ była nawet znaczna. Wypada ubolewać, że nie udoskonalono ich już dawniej, ale ubolewanie to ma znaczenie tylko platoniczne. Bowiem z góry wiadomo, że nawet osiągnąwszy nieosiągalny ideał w budowie wskaźników „nożyc“ — stwierdziliśmy ich istnienie; a jeżeli nawet rozpiętość obu ramion nożyc okazałaby się mniejszą od notowanej dotąd, to tem niemniej byłaby wystarczająco wielką, aby stanowić dostateczny argument dla tych wniosków, które ze zjawiska nożyc wysnuwano i które nadal wysnuwać należy. Wiadomo to z góry, gdyż relacja między cenami rolnemi i przemysłowemi uległa *tak znacznym* zmianom w latach ubiegłych, że napewno nie skompensują ich żadne błędy statystyczne. W ogóle wskaźniki były tu tylko i wyłącznie — bardzo dogodnym — argumentem pomocniczym, gdyż do zupełnie tych samych wniosków prowadzi bezpośrednia obserwacja ruchu cen paru artykułów rolnych i przemysłowych. Jeszcze silniejszą przebudowę dla tych wniosków stanowi obserwacja zmian w sile kupczej rolnika i mieszczanina, dokonywana zarówno metodą prostego przyjrzenia się życiu, jak np. metodą wskaźników rozmiarów spożycia wsi i miast, zdawna przez Instytut Koniunktur obliczanych i niezakwestionowanych. Ostatecznie więc twierdzimy, że poprawki, wprowadzone obecnie przez prof. Lipińskiego w budowę wskaźnika „nożyc“, zapewne udoskonalą ten wskaźnik, ale napewno nie zmienią wymowy wskaźnika dotychczasowego, t.j. nie zmienią faktu, że za tą samą ilość swych wytworów rolnik otrzymać może obecnie znacznie mniejszą (jest nieomal obojętne dla praktycznych celów naszej polityki gospodarczej czy o 50% mniej, czy np. o 37½% mniej, bo zawsze *znacznie mniej)* ilość wyrobów przemysłowych, niż kiedyś.

Kiedyś — ale kiedy? Tu dotykamy drugiej poprawki prof. Lipińskiego. Twierdzi on, że przyjmowanie roku 1928 za bazę do obliczenia wskaźników jest nieszczęśliwe, że z rozlicznych przyczyn należałoby przyjąć inny okres za punkt wyjściowy obliczeń. Poprawka taka jest zapewne b. słuszna, celowa i pożądana. W nowej bazie będzie tkwiła *dowolność,* zapewne mniejsza niż w bazie dotychczasowej, ale dowolność będzie jest nieunikniona. I nic to nam nie będzie przeszkadzało, nie spowoduje żadnych błędów w naszych wnioskach, dopokąd z istnienia owej dowolności będziemy sobie zdawali sprawę i przy używaniu wskaźników uświadamiać sobie będziemy cały ten kompleks niezbędnych zastrzeżeń — który wszyscy poważni publicyści gospodarczy uświadamiali sobie zawsze. Piszący te słowa najchętniej by się może posiłkował wskaźnikiem opartym na bazie *zawsze najświeższej* liczby, wówczas bowiem dowolność byłaby

zupełna i potrzebne zastrzeżenia występowałyby najwyraźniej.

Teza, że należy przywrócić taką relację cen rolnych i przemysłowych, jaką mieliśmy w r. 1928 (jeżeli w ogóle teza taka była głoszona rygorystycznie, a nie dla uschematyzowania rozumowania i uczynienia go bardziej przejrzystym) — była *wedle wszelkiego prawdopodobieństwa* błędna. W międzyczasie bowiem, tak w produkcji przemysłowej, jak rolniczej, nastąpiły nie byle jakie zmiany w warunkach technicznych produkcji, w warunkach rynkowych, w poziomie stopy życiowej — a więc byłoby zupełnie przedziwnym zbiegiem okoliczności, gdyby się te zmiany nawzajem kompensowały i uzasadniały powrót do relacji cen z r. 1928. Tem niemniej wolno było głosić tę tęzę w publicystyce, jako najzupełniej dopuszczalne i celowe uproszczenie myślowe; istotną bowiem treścią tej tezy jest twierdzenie, że należało dążyć do zmiany relacji cen w kierunku *przybliżenia* jej do stanu z r. 1928, t.j. w kierunku podniesienia cen rolnych, jak chcieli jedni, albo obniżenia cen przemysłowych, jak chcieli drudzy, albo też podniesienia jednych, a obniżenia drugich, jak chcieli trzeci.

Jak daleko pójść ma to przybliżenie, jaki poziom wskaźnika nożyc opartego na bazie 1928 — 100 ma być *obecnie* uznany za „normalny" — to inne zagadnienie. Odpowiedzi na nie szukać należy w rozważaniach bardziej wnikliwych, aniżeli prymitywne rozpatrywanie wskaźników, na takiej czy innej bazie opartych. W każdym razie pamiętać trzeba, że zasadniczo, w długiej fali czasu, pożądanem jest, aby linia cen rolnych szła górą, ponad linią cen przemysłowych, wprost dlatego, że konsumcja i produkcja rolnicza jest mniej elastyczna, ma mniejsze możliwości wzrastania, aniżeli produkcja i konsumcja przemysłowa. Przy okazji pospieszamy wypowiedzieć pogląd osobisty, że w warunkach *dzisiejszych* uznać trzeba nożyce cen za zamknięte; przemawia za tem odzyskanie rentowności przez warsztaty rolne z jednej strony, a potrzeba stworzenia dogodnych warunków rozwojowych dla przemysłu z drugiej strony. Dla wniosku tego wskaźnik nożyc i jego baza mają znaczenie zupełnie trzeciorzędne. Natomiast istnienie wskaźnika (na jakiejkolwiek bazie opartego) i pilne obserwowanie go jest potrzebne, aby na czas można się przeciwstawić ewentualnemu ponownemu rozwarciu się nożyc, np. przez podwyżkę cen przemysłowych, której nie towarzyszyłaby odpowiednia podwyżka cen przemysłowych. A ewentualność zwyżki cen przemysłowych, przede wszystkim zaś surowcowych, wydaje się być niestety realną.

Reasumując więc poglądy nasze na dokonaną przez prof. Lipińskiego krytykę *metody statystycznej*, używanej przy obliczeniu wskaźnika nożyc—wypowiadamy przekonanie, że krytyka ta spowoduje zapewne opracowanie nowych, może mniej błędnych liczb wskaźnikowych, ale te zmiany techniczne nie zmienią wcale istoty wniosków polityczno - gospodarczych, jakie wyprowadzano z faktu powstania znacznej i nadmiernej rozpiętości między cenami rolnemi i przemysłowemi. Publicyści, którzy uwagi techniczno-statystyczne prof. Lipińskiego uważają za dostateczną podstawę do negowania tego *faktu*, lub kwestionowania zasadniczych wniosków z faktu tego wyprowadzonych w przeszłości oraz mających być wyprowadzanemi w przeszłości — przykro nam skonstatować, że publicyści ci nie postępują lojalnie.

*

Niezależnie od korektyw statystycznych, dotyczących metod budowania wskaźnika, prof. Lipiński zgłosił ważne zastrzeżenia co do wniosków, jakie wysnuwa się z faktu dużej rozpiętości, powstałej ostatnio między cenami rolnemi i przemysłowemi, na niekorzyść tych pierwszych. Zastrzeżenia te nie wiążą się właściwie z korektywami statystycznemi; możnaby je wysunąć przy dawnym wskaźniku, można i przy nowym.

Wymienione zastrzeżenia prof. Lipińskiego oparto na rozumowaniu bardzo fikcyjnym. Nie popełnimy zapewne błędu, mówiąc najbardziej ogólnikowo, że prof. Lipiński uzasadnia, iż rozwarcie się nożyc było zjawiskiem *naturalnym*, wynikającym ze swoistych cech obu działów produkcji, że poza tem zwarcie nożyc nie *wystarczyłoby* dla uruchomienia ożywienia gospodarczego.

Teza o *„naturalności"* rozwierania się nożyc, oparta na niejednakowej elastyczności produkcji i konsumcji w rolnictwie i przemyśle — wydaje się być niezaczepialną. W ogóle pojęcie „naturalny" w rozważaniach ekonomicznych ma zazwyczaj charakter dosyć mglisty; nieomal możnaby mówić, że skoro w praktyce nożyce się rozwarły, musiało to mieć „naturalne" przyczyny. Nie przeszkadza to bynajmniej — oczywiście — że fakt rozwarcia się nożyc cen miał te ujemne właściwości, które mu powszechnie się przypisuje. Tem samem utrzymuje się słuszność polityki gospodarczej, zmierzającej do przymknięcia nożyc, a więc do usunięcia ujemnych cech tego zjawiska. Nigdzie nie jest bowiem powiedziane, że polityka koniunkturalna nie może przeciwstawiać się „naturalnym" procesom gospodarczym — zwłaszcza, gdy ta „naturalność" mocną ma podstawę w istnieniu kartelowych prac organizacyjnych.

Zwarcie nożyc nie byłoby wystarczające dla uruchomienia poprawy gospodarczej. Również i ta teza wydaje się być niezaczepialną. Co więcej, sądzimy, iż możnaby tę tezę zastosować do *każdej* metody działania z dziedziny polityki koniunkturalnej. Z reguły bowiem obserwujemy w tej dziedzinie stosowanie *systemów*, składających się z szeregu składników, z których żaden sam w sobie nie jest wystarczający. W szczególności w rozwiązaniu problemu nożyc cen widziano u nas zazwyczaj nie środek *uruchamiający* ożywienie gospodarcze (tę rolę przypisuje się zazwyczaj procesom inwestycyjnym), a usuwający przeszkody przeciwstawiające się uruchomieniu ożywienia i stwarzający warunki sprzyjające działaniu i skuteczności procesów inwestycyjnych. Boć przecież przymknięcie nożyc dać miało nie więcej i nie mniej — jak ożywienie i rozszerzenie rynków wiejskich dla przemysłu.

Reasumując uwagi powyższe wypowiedzieć musimy pogląd, że artykuł prof. Lipińskiego nie zawiera w sobie żadnych nowych wartości dla praktycznej polityki gospodarczej. Wynikać z niego mogą jedynie korektywy w *ilościowym* rozumieniu procesów gospo-

darczych, związanych ze zjawiskiem nożyc, przy czem to ilościowe rozumienie nie ulega zmianom na tyle dużym, aby naruszone były wnioski polityczno - gospodarcze, dotąd ze zjawiska nożyc wysnuwane. Natomiast jako dysertacja teoretyczna, wnosząca nowe wartości do *rozważań* na temat nożyc, artykuł prof. Lipińskiego ma niewątpliwie poważną wartość pozytywną. Powtarzamy więc, że nie postępują lojalnie ci publicyści, którzy pracę prof. Lipińskiego używają za odskocznię do negowania faktu, oraz kwestionowania zasadniczych wniosków, z faktu tego wysnuwanych.

UWAGI

PLAN INWESTYCYJNY

Nieuchronna ludzka tendencja do upraszczania zagadnień, do spoglądania na problem z jednego tylko, często przypadkowego, punktu widzenia, znalazła swój pełny wyraz w ocenach i reakcjach na plan inwestycyjny przedłożony parlamentowi. Na skutek tej jednostronności podejścia spotykamy się z diametralnie sprzecznemi ocenami. Z jednej strony słyszy się nie bez racji, że jeśli chodzi o kwoty przeznaczone na inwestycje publiczne w 1937 r. to nie tylko są one skromne w stosunku do potrzeb, ale i niewiele odbiegają od kwot mobilizowanych w latach ostatnich na ten cel. Druga strona nie bez słuszności również traktuje plan inwestycyjny na rok 1937 jako coś nowego, a nawet jako początek nowej ery. Możnaby co prawda wymienić jeszcze trzecią stronę: tych, których najbardziej zainteresował problem, czy wolno było Rządowi plan inwestyc. przedłożyć parlamentowi jako odrębną ustawę, czy też należało zmieścić go w ramach budżetu? Ten problem niestety pominiemy, wydaje się nam bowiem, że może on zainteresować tylko umysły należące bądź do kategorii scholastycznych miłośników wątpliwości prawnych, bądź też do kategorii małostkowych politykierów, chwytających się każdej okazji.

Cóż daje plan inwestycyjny? — Daje on przede wszystkim skomasowanie nie wszystkich co prawda, ale olbrzymiej większości poczynań inwestycyjnych Rządu w jedną całość. Przesadą byłoby twierdzić, że całość planu wynika z jednolitych, w pełni uzgodnionych założeń, że wszystkie poszczególne w planie przewidziane inwestycje wyrastają z jednolitej koncepcji. Pewna koncepcja tego rodzaju w planie jest, o czem będziemy niżej mówić, niewątpliwie jednak w znacznej mierze plan jest mechanicznym podsumowaniem pozycyj, ustalonych na podstawie niezależnych od siebie kryteriów. Gdyby jednak plan jako całość miał taki tylko charakter, to już należałoby go uważać za postęp. Samo zestawienie prac inwestycyjnych prowadzonych w różnych dziedzinach daje już niezmiernie wiele, daje orientację w repartycji kwot wydatkowanych na poszczególne dziedziny, daje możność chociażby połowicznej hierarchizacji poczynań inwestycyjnych Państwa na różnych odcinkach. Jako przykład wartości połowicznego nawet uporządkowania sprawy inwestycyj publicznych przytoczyć możemy problem, który z dużą jaskrawością wystąpił przy dyskutowaniu planu inwestycyjnego w parlamencie. Opinia publiczna miała już dawno świadomość, że w stosunku do skromnych możliwości finansowych Państwa budowa gmachów administracyjnych pochłania zbyt wiele. Wydaje się, że już w toku opracowywania planu inwestycyjnego odnośne pozycje musiały ulec redukcji. Dyskusja parlamentarna wzmocniła niewątpliwie tendencję oszczędzania na budowie gmachów i przeniesienia wydatków na inwestycje o rentowności pośredniej i bezpośredniej. Plan inwestycyjny daje inne jeszcze cenne wskazówki. Weźmy np. stosunek kredytów na budownictwo miejskie (poza robotniczym), robotnicze i wiejskie. Stosunek lekko tylko skorygowany przez Sejm. Nie ulega przecież wątpliwości, że anomalią jest finansowanie wciąż jeszcze dość szeroką ręką luksusowego budownictwa miejskiego, którego rentowność zapewniona jest (i to nadmiernie) przez inne posunięcia polityki gospodarczej, przy tak niesłychanie skromnej akcji na odcinku budownictwa robotniczego, (które jest najbardziej twórczym ze wszystkich środków polityki socjalnej z ubezpieczeniami włącznie), oraz na odcinku budownictwa wiejskiego, gdzie każda złotówka kredytu na zakup artykułów przemysłowych, potrzebnych przy budowie, uruchamia jednocześnie niepomiernie większe wartości w postaci pracy i materiałów dostarczonych przez samo gospodarstwo, korzystające z kredytu budowlanego. Reasumując, jeśli nawet przesadą byłoby uważać plan za organiczną jednolitą całość, jeśli znajdujemy tam tylko połowiczny refleks ogólniejszej koncepcji — to tem niemniej stwierdzić należy, że plan zbliża nas do shierarchizowania poczynań inwestycyjnych, że zwiększa porządek w pracach inwestycyjnych, sprzyja oszczędzaniu na pozycjach niekoniecznych. Na pierwszy rok to już dużo.

Wspomniałem kilkakrotnie, że plan zawiera elementy pewnej ogólniejszej koncepcji. W czem je widzę? — W postawieniu problemu rejonu centralnego. Zachód Polski wciąż jeszcze przyzwyczajony mierzyć swe potrzeby skalą niedostosowaną do dzisiejszych możliwości, narzeka z lekka na tę koncepcję. Wschód, niewątpliwie upośledzony w akcji inwestycyjnej dawniejszej a nawet teraźniejszej, ma również powody do narzekania. Tem niemniej nawet w krytycznych z pozoru głosach dostrzega się znaczny stopień zrozumienia dla koncepcji silniejszego zainwestowania rejonu środkowego. Nie będę rozwijał szerzej tej sprawy, na temat której „Gospodarka" zamieściła zarówno kilka głosów dyskusyjnych, ostrzegających przed nadmierną jednostronnością, jak i opinie silnie uzasadniające tezę koncentracji inwestycyj w rejonie środkowym (Wł. Grabski i Z. Szempliński). — Ba, „Gospodarce Narodowej" przypadła przecież zaszczytna rola postawienia po raz pierwszy na łamach publicystyki polskiej problemu inwestycyj w rejonie centralnym jako podstawowego punktu programu gospodarczego Rzeczypospolitej. (Artykuł „Na począt-

ku była Wisła"). Pozwala mi to powstrzymać się od szerszego omawiania sprawy. Nie ulega wątpliwości, że stawka na rejon centralny wynika w znacznej mierze z pewnych praktycznych założeń z płaszczyzny zagadnienia obronności kraju. Tem niemniej mamy zupełnie wyraźne poczucie, że koncepcja ta jest nie tylko wynikiem incydentalnych potrzeb praktycznych, że zawiera w sobie szersze i trafne założenia programowe. Sądzę, że tem właśnie tłumaczyć należy wstrzemięźliwość krytyki ze strony innych niezainteresowanych rejonów.

Wydaje mi się, że wysunięcie wyżej omówionej koncepcji uznać należy za najdonioślejszy i najbardziej pozytywny punkt metody operowania jednolitym planem inwestycyjnym. Mniejszą już wagę przywiązywać możemy do kwestii rozmiarów planu inwestycyjnego. Nie są one szczególnie wielkie. Coroczne zmiany w metodzie obliczania inwestycyj publicznych utrudniają porównanie z latami przeszłymi, zdaje się jednak, że rewolucyjnych zmian, jeśli chodzi o cyfrę wydatków, nie mamy w tym roku. Pewne jest także, że z punktu widzenia naszych zaniedbań strukturalnych to, co plan obejmuje stanowi zaledwie drobną cząstkę zupełnie bezpośrednich, nie dających się odkładać potrzeb. Ale właśnie dlatego, że sumy planu inwestycyjnego są — jeśli mierzyć je potrzebami — skromne, hierarchizacja wydatków i znalezienie pewnej programowej wytycznej dla części planu stanowi tem większą wartość.

Pod kątem strukturalnym możemy zatem uważać plan za krok pierwszy planowego porządkowania zaniedbań przeszłości. Jakie znaczenie zamierzonym inwestycjom publicznym przypisywać możemy pod kątem wpływu na koniunkturę? — Ani zbyt wielkie, ani zbyt małe. Z punktu widzenia wpływu na proces koniunkturalny nie jest najważniejsze ani gdzie się inwestuje, ani nawet w pewnym sensie na jaką skalę. Ważne jest przede wszystkim, a nawet decydujące, w jakiej drodze uzyskiwane są środki używane na sfinansowanie danych inwestycyj. Część środków objętych planem ma jak wiadomo charakter tylko przesunięć od konsumcji bezpośredniej do inwestycyj (np. Fundusz Pracy). Istotną rolę pod kątem zagadnienia koniunktury odgrywa więc ta część, która oparta jest o operacje kredytowe, czy to z rynkiem zagranicznym, czy z krajowym rynkiem sztywnym. Jeśli chodzi o rynek zagraniczny, to zagadnienie planu mieści się w zagadnieniu pożyczki francuskiej, już niejednokrotnie omawianym. Jak natomiast oceniać należy dziś kwestię mobilizacji wewnętrznej środków finansowych na plan inwestycyjny? Na pytanie to jest trudna odpowiedź. Nie ulega wątpliwości, że przy danej skali inwestycyj nie wchodzi w grę inflacja kredytowa, mogąca silniej ożywić proces koniunkturalny. Jednocześnie jednak stwierdzić należy, że przy obecnym stanie aparatu kredytowego z jednej, a wypłacalności prywatnych kredytobiorców z drugiej strony, sięgnięcie na rynek kredytowy po środki na cele inwestycyjne przyczyni się do przyśpieszenia szybkości obiegu, zapobiegnie tworzeniu nadmiernych rezerw kasowych w instytucjach kredytowych, słowem wywrze pewne ożywcze działanie. Niewątpliwie jednak, nie negując pozytywnego znaczenia planu inwestycyjnego, trzeba stwierdzić, że przy tej skali i tej metodzie finansowania, przy unikaniu w szczególności odchyleń od klasycyzmu polityki kredytowej — plan inwestycyjny jako bodziec poprawy koniunkturalnej ma znaczenie mniejsze niż np. wpływ koniunktury światowej.

c. k.

REGENERACJA KREDYTU

W warunkach, które zwykło się nazywać normalnymi i przy klasycznym przebiegu cyklu koniunkturalnego, zagadnienie rozbudowy kredytu w fazie poprawy rozwiązuje się w olbrzymiej mierze w drodze procesów samoczynnych. Poprawiająca się wypłacalność kredytobiorców ośmiela banki w dziedzinie kredytu krótkoterminowego. Na rynku długoterminowym fala optymizmu kieruje nabywców papierów wartościowych od papierów o stałym oprocentowaniu do lokat o oprocentowaniu zmiennym, stwarza popyt na akcje, stwarza podkład dla inicjatywy i inwestycyj produkcyjnych. Ożywienie życia gospodarczego, wywołane w olbrzymiej mierze ekspansją kredytową o charakterze inflacyjnym w wąskim znaczeniu tego słowa, samo z kolei rozszerza bazę kredytową, zwiększa pojemność instytucyj kredytowych, ożywia ich ekspansję. Zbędnym jest zresztą bardziej szczegółowe charakteryzowanie tego klasycznego przebiegu, co najwyżej warto byłoby podkreślić pewne dodatkowe momenty, występujące dziś w krajach zasobnych pod względem kapitału i nie prowadzących skrajnej polityki nakręcania koniunktury, ale jednak odchylających się od klasycyzmu. W tych krajach europejskich nie bez znaczenia niewątpliwie dla rynku kredytowego będzie fakt uzyskania równowagi budżetowej w warunkach poprawy koniunkturalnej, a w konsekwencji zmniejszania się popytu kredytowego ze strony państwa. Spróbujmy natomiast nieco szerzej zanalizować sytuację w Polsce, spróbujmy zastanowić się, w jakiej mierze odbiega ona od klasycznego szematu.

Celowość forsowania inwestycyj publicznych jest przedmiotem sporu zarówno wśród teoretyków ekonomii lub polityków gospodarczych, jak dajmy na to na terenie parlamentarnym. Tem niemniej wydaje się rzeczą zupełnie niewątpliwą, że bez względu na istniejące różnice zdań ten kierunek działania można uważać za przesądzony. W jakiej skali — trudno przewidzieć na nieco dłuższą metę. Czy skala inwestycyj publicznych będzie tego rodzaju, że drenaż rynku kapitałowego wyczerpywać będzie prawie całkowicie jego zdolność? Czy dla sfinansowania planu inwestycyjnego w dalszej przyszłości będziemy się, czy nie będziemy, uciekać do sztucznego tworzenia siły nabywczej? Pewnem jest jednak, że na odcinku inwestycyj publicznych istnieje dwojaka zasadnicza różnica między sytuacją Polski i krajów zachodnio-europejskich. Po pierwsze w zachodniej Europie inwestycje publiczne traktowano głównie jako środek koniunkturalny, jako element nakręcania koniunktury, zatrudniania bezrobotnych i t. p. W Polsce inwestycje publiczne łączą się nierozłącznie z naszymi zaniedbaniami historycznymi i brakami strukturalnymi. Nasze inwestycje publiczne nie są odpowiednikiem tego, co w zachodniej Europie robiono w latach ostatnich, lecz tego, czego dokonano w niej przed laty, a nieraz w ubiegłym stuleciu. I dlatego poprawa koniunktury nie zdezaktualizuje inwestycyj publicznych w Polsce w tej mierze, jak to może mieć miejsce w

innych krajach. Po drugie szereg krajów zachodniej Europy dość poważnie zaangażował się w kierunku inflacyjnego finansowania inwestycyj i zbrojeń w poprzedniej fazie koniunkturalnej, wykorzystując te zabiegi jako środki nakręcania koniunktury. W Polsce mieliśmy — jak to dzisiaj wyraźnie należy stwierdzić — okres inflacji kredytowej, ale bynajmniej nie na cele inwestycyjne, a na cele równoważenia budżetu konsumcyjnego, przy czem ze względu na szereg wtórnych okoliczności (równoległa tezauryzacja, konsumcyjny charakter zabiegów inflacyjnych, mała skala inflacji kredytowej, a przede wszystkim robienie ex post, aptekarskiemi dawkami) — efekt koniunkturalny tej inflacji kredytowej był nikły.

Skutkiem niewykorzystania dla celów inwestycyjnych inflacji kredytowej, mamy dziś do wykonania nie tylko inwestycje konieczne ze względów strukturalnych, ale i szereg inwestycyj — jeśli się tak można wyrazić — bieżących, zaniechanych w ostatnim paroleciu. Inwestycyj, z których rezygnacja w warunkach międzynarodowego wyścigu zbrojeń jest niemożliwa. Siłą faktu niewątpliwie skala inwestycyj publicznych w Polsce zmniejszyć się nie da nawet wtedy, gdyby o tej sprawie decydowali doktrynalni przeciwnicy robót publicznych. Wynika stąd w sposób nieuchronny, że słabiutki rynek kapitałowy Polski odradzać się będzie w warunkach poważnego obciążenia z zapotrzebowaniem ze strony Państwa.

Nie jest to jedyna nasza specyficzna osobliwość. Nie mieliśmy nigdy poza okresem inflacyjnej i poinflacyjnej spekulacji popytu na akcje. Oczywista rzecz, że hałas czyniony przez sfery gospodarcze na temat hydry etatyzmu, zagrażającej rzekomo każdemu przedsiębiorstwu prywatnemu, wyklucza spopularyzowanie akcyj jako lokaty. Wiele warunków złożyło się na to, że długoterminowe papiery państwowe również nie cieszą się na ogół zbyt wysoką renomą. Pokaźna ilość papierów, wprowadzonych na rynek specjalnemi metodami (Pożyczka Narodowa i Inwestycyjna), nie sprzyja odrodzeniu popytu na papiery publiczne, podobnie jak i dokonana w roku ubiegłym konwersja (słuszna w zasadzie — nie wiem czy szczęśliwa we wszystkich szczegółach). Wreszcie listy zastawne — papier zabezpieczony na własności nieruchomej, własność miejska, choć skądinąd słusznie skrępowana ustawą o ochronie lokatorów — mogą jeszcze uchodzić w oczach szerszej publiczności za niezły podkład emisyjny. Z własnością ziemską jest niewątpliwie gorzej. Można się spierać na wysokim lub niskim poziomie dyskusji publicystycznej, czy dajmy na to wzrost cen, względnie oddłużenie, wystarczy czy nie wystarczy dla wysanowania większej własności. Ciułacz powoduje się innymi względami, innymi rozumowaniami. Przede wszystkim widzi, widzi naocznie lub słyszy o fatalnym stanie tego czy owego konkretnego folwarku. Powstałe na tym tle przekonanie o istotnie ciężkim stanie majątkowym wielkiej własności pogłębiane jest nieświadomie, mimowolnie ale udatnie, przez kampanię prowadzoną przez koła obszarnicze, usiłujące opinii publicznej wykazać zgubne skutki każdego właściwie posunięcia, które nie ma charakteru bezpośredniej opieki, bezpośredniej ulgi dla wielkiej własności. Tendencja salwowania kredytu długoterminowego i w ogóle kredytu zorganizowanego kosztem właściciela prywatnego nie ratuje sprawy, gdyż ciułacz łatwo dochodzi do wniosku, że przy dalszym pogłębianiu się trudności w sytuacji większej własności przyjdzie kolej i na kredyt długoterminowy. W tych warunkach zagadnienie dostarczenia rynkowi właściwego papieru, papieru mogącego liczyć na popyt, nie jest zagadnieniem prostym, co widać chociażby z tego, że państwo przy ostatnich emisjach papierów wartościowych niemal zawsze usiłowało odwoływać się do elementu hazardu, nadając pożyczkom formę premiową. Sprawa jest tem poważniejsza, że jak widzimy od dłuższego czasu, polska oszczędność ma dość wyraźnie charakter krótkoterminowy, — wkład oszczędnościowy jest bez wątpienia najpotężniejszą formą kapitalizacji pieniężnej.

W tych warunkach liczyć się należy z tem, iż regeneracja kredytu przybierze raczej postać ożywienia kredytu krótkoterminowego i krótkoterminowych wkładów. Wkłady te w części muszą być wykorzystane jako podkład dla inwestycyj publicznych, w części zaś staną się źródłem krótkoterminowego kredytu. Z tą chwilą jednak wyłania się inny, nowy problem. Nasz aparat oszczędnościowy coraz bardziej nabiera charakteru, na który w swoim czasie zwrócił uwagę prof. Tennenbaum. Sieć oszczędnościowa rozsiana w całym kraju drenuje środki zaoszczędzone przez społeczeństwo i koncentruje je w zbiornicach centralnych. — Dotyczy to nie tylko P. K O., ale nawet K. K. O., które — jeśli sie nie myle — znacznie zredukowały dział krótkoterminowych kredytów handlowych na rzecz innych operacyj, np. obsługi potrzeb komunalnych. Jasnem jest w każdym razie, że przy niedorozwoju form drobnego kredytu istniejąca sieć kredytowo - oszczędnościowa komasuje drobne oszczędności, tworząc z nich podkład dla pożyczek w wielkich sumach. Wszystko jedno czy pożyczkobiorcą będzie tu państwo czy wielkie przedsiębiorstwa, — faktem jest, że istniejąca sieć kredytowo - oszczędnościowa przesuwa dyspozycję kapitałową do nielicznych, ograniczonych, silnych jednostek.

W tych warunkach regeneracja kredytu w okresie poprawy koniunkturalnej będzie niestety równoznaczna z dalszym wzmocnieniem przewagi przedsiębiorstw wielkich nad przedsiębiorstwami małymi. Zjawisko to musi być tem silniejsze, że istniejąca reglamentacja stopy od wkładów i cały szereg innych posunięć polityki kapitalizacyjnej sprzyjają dziś silniej jeszcze niż w okresie poprzedniej wysokiej koniunktury koncentrowaniu się wkładów w wielkich, centralnych zbiornicach. Jeśli więc mamy poszukiwać zadań polityki państwowej w dziedzinie kredytu na okres najbliższy, to w warunkach, w których kredyt krótkoterminowy oparty o wkład krótkoterminowy musimy uważać za jedyną pozycję rokującą na bliższy dystans perspektywy rozwoju — zagadnieniem centralnym staje się sprawa wzmocnienia pozycyj terenowych instytucyj kredytowych tych, które z natury swej łatwiej zwiążą się z przedsiębiorstwami drobnymi i średnimi.

c. k.

UBEZPIECZENIE EMERYTALNE ROBOTNIKÓW ROLNYCH

Zapomnieliśmy już nieco o tych niedawnych „dobrych" czasach, kiedy nasz system ubezpieczeń społecznych był uważany za „wroga nr. 1", kiedy jedni i ci sami ludzie uchwalili niedoskonały zapewne, ale jednak stanowiący wielki krok naprzód kodeks ubezpieczeń społecznych, noszący niefortunną nieco nazwę „ustawy scaleniowej", i w kilka miesięcy potem nabrali chorobliwego wstrętu do własnego dzieła. Mało się dziś mówi już o komisji, zwanej w swoim czasie „sądem ostatecznym nad ubezpieczeniami społecznymi". Bez złośliwości stwierdzić można, że na przykładzie ubezpieczeń społecznych raz jeszcze została potwierdzona stara teza, głosząca, że „dłużej klasztora niż przeora". Moda polityczna zmienia się nieraz gwałtowniej niż „fasony" w żurnalach mód. Po reakcjonizmie stał się modny „radykalizm".

Abstrahując od gwałtownych przemian mody politycznej, która jest zresztą znacznie mniej interesująca od modeli sukien (no i od... modelek), chcielibyśmy w sposób możliwie obiektywny sformułować pewne zagadnienie z zakresu ubezpieczeń społecznych i naszkicować pewne kierunki, w których, jak się zdaje, należało by poszukiwać rozwiązania problemu.

W kraju, obarczonym bezrobociem strukturalnym, należy dążyć m. inn. do stopniowego wytworzenia takiego stanu rzeczy, w którym zatrudnienie otrzymywałyby jednostki najbardziej produktywne, zaś jednostki, pozbawione już pełnej zdolności do wydajnej pracy, byłyby masowo i systematycznie usuwane z rynku pracy i miały zapewniony udział w dochodzie społecznym na poziomie minimum egzystencji. Urządzeniem racjonalnym, przy pomocy którego zmierza się do takiego stanu rzeczy, jest ubezpieczenie (lub szerzej ujmując: zabezpieczenie) emerytalne. Od 1-go stycznia 1928 r. posiadamy funkcjonujące na terenie całej Rzeczypospolitej ubezpieczenie emerytalne pracowników umysłowych, od 1-go stycznia 1934 r. na całym obszarze Państwa funkcjonuje ubezpieczenie robotników przemysłowych. Natomiast nie posiadamy dotychczas (poza poznańskiem, pomorskiem i G. Śląskiem) ubezpieczenia emerytalnego robotników rolnych, a przecież cele, którym służy ubezpieczenie emerytalne, są nie mniej w naszych warunkach aktualne na wsi niż w mieście. Rozumiemy i uznajemy bez zastrzeżeń, że sytuacja gospodarcza wsi w wysokim stopniu utrudniała wprowadzenie omawianej gałęzi ubezpieczenia społecznego. Sytuacja taka nie będzie jednak wieczysta. Problem ubezpieczenia emerytalnego robotników rolnych staje się dziś wysoce aktualny, niezależnie od tego, kiedy nałożenie pewnych dodatkowych (skromnych zresztą) ciężarów socjalnych na gospodarstwa rolne, zatrudniające pracowników najemnych, stanie się praktycznie możliwe. Aktualność zagadnienia można bowiem uzasadnić nie tylko społeczną potrzebą ubezpieczenia emerytalnego robotników rolnych, ale również i tem, że dotychczas brak nam w ogóle racjonalnej koncepcji takiego ubezpieczenia.

Wszelkie próby naśladownictwa ubezpieczenia emerytalnego robotników przemysłowych uważamy za objaw niecelowego, szkodliwego tradycjonalizmu. Potrzebna jest konstrukcja finansowa, dostosowana do potrzeb robotników *rolnych* i do możliwości gospodarstw *rolnych*. Brak koncepcji jest w tym wypadku po prostu dziwny, przecież mamy do czynienia z zagadnieniem, które stanowić powinno istny „smakołyk" dla każdego aktuariusza o wysubtelnionym choć trochę „smaku intelektualnym".

Autor niniejszego nie rości sobie (przynajmniej na razie!) pretensji do rozwiązania omawianego problemu. Autor ogranicza się do naszkicowania pewnych, jak się zdaje, racjonalnych wytycznych, wyrażając przy tem nadzieję, że zadanie zostanie podjęte przez innych, bardziej godnych i kompetentnych .

Wydaje się rzeczą właściwą ograniczyć zakres ryzyk, objętych przez ubezpieczenie emerytalne robotników rolnych, do ryzyka śmierci (z pozostawieniem nieletnich dzieci lub wdowy) i ryzyka starości. Z objęciem przez ubezpieczenie ryzyka inwalidności można by, a może nawet należało by poczekać.

Wysokość świadczeń dla ubezpieczonych i uposażonych powinna być uniezależniona od indywidualnych zarobków, a nawet może i od okresu, przebytego w ubezpieczeniu. Należy zbadać, czy niezbędne są świadczenia periodyczne (renty), czy też w pewnych wypadkach przynajmniej możliwe by były świadczenia jednorazowe (odprawy).

Obok jednolitej składki robotnika należało by wprowadzić opłatę pracodawcy od jednostki powierzchni (zróżnicowaną wg. kategorii ziemi). Opłata ta mogłaby obciążać dany teren wieczyście, niezależnie od tego, czy będą na nim w przyszłości zatrudnieni pracownicy najemni. W razie parcelacji opłata ta byłaby włączana do annuity, przy pomocy której będzie spłacana dana działka ziemi.

W ubezpieczeniu o tak prostym systemie świadczeń i opłat można by nareszcie wprowadzić przy wymierzaniu świadczeń i opłat zamiast „stałej" jednostki pieniężnej — jednostkę siły nabywczej, opartą na odpowiednio skonstruowanym wskaźniku cen. W ten sposób uzyskano by automatyczną dostosowalność obciążenia społecznego do falowań koniunktury w rolnictwie.

Ubezpieczenie emerytalne robotników rolnych powinno być należycie powiązane z planem reformy rolnej. Usamodzielniający się robotnicy rolni nie powinni tracić uprawnień, nabytych w ubezpieczeniu, lecz skapitalizowana wartość tych uprawnień powinna być uwzględniana przy nabywaniu drobnych gospodarstw. Wbrew pozorom tego rodzaju uprawnienia ubezpieczonych są możliwe nie tylko przy systemie kapitałowego pokrycia zobowiązań ubezpieczeniowych, są one do pomyślenia nawet przy systemie finansowym czystej repartycji wydatków.

Ubezpieczenie emerytalne robotników rolnych musi cechować najdalej posunięta prostota, inaczej administracja jego będzie droga, lub nawet ubezpieczenie stanie się administracyjnie niewykonalne. Wyłączenie ryzyka inwalidności, uniezależnienie świadczeń od indywidualnych zarobków zdaje się zapewniać dostateczną prostotę i taniość administracji.

n.

HOMO OECONOMICUS W POLSCE ZOSTAŁ URZĘDNIKIEM

Tak stwierdza w artykule p. t. „Czy homo oeconomicus żyje?" — „Depesza" z dnia 28.I. b. r. Artykuł został napisany w związku z moim artykułem „Gospodarka i Kultura" Nr. 22 z 1936 r. „G. N.".

Umieszczona w tytule niniejszej uwagi konkluzja autora artykułu w „Depeszy" jest równie interesująca jak i oryginalna. Poza tym, jeśli ją przyjąć za prawdziwą, to można by na tej podstawie snuć daleko idące wnioski co do dalszego kierunku ewolucji społeczno - gospodarczej w Polsce, jeżeli przyjmiemy za założenie, że decydującym elementem w działalności gospodarczej jest człowiek.

Ja osobiście jestem skłonny przyjąć konkluzję p. N. z „Depeszy" za prawdziwą, a jedynym punktem do dyskusji z wywodami p. N. jest dla mnie kwestia metodologiczna.

Mianowicie p. N. słusznie zaznacza, wskazując na różnice moich i jego poglądów, że różnice te płyną stąd, iż moja interpretacja pojęcia homo oeconomicus jest „specyficzna", i sam interpretuje to pojęcie inaczej, określając go, jako „zespół cech psychologicznych, reagujących na typowe bodźce natury gospodarczej w określony sposób". Ja istotnie nie traktowałem sprawy aż tak szeroko i sądzę, że byłem bliższy teoretycznego pojęcia ekonomii klasycznej, niż p. N. Klasyczna ekonomia mówi bowiem o człowieku rządzącym się *własnym* interesem i najlepiej rozumiejącym *swój* interes i takim był ten człowiek w XIX wieku, wieku liberalnej, rozproszkowanej gospodarki.

Sądzę, że dla porozumienia między mną i p. N. trzeba przyjąć terminologię „starego" Marksa, który dzieli pojęcia ekonomiczne na kategorie historyczne, to znaczy przejściowe formy danych zjawisk i ekonomiczne, to znaczy stałe, wieczne. Warto to rozróżnienie przypomnieć społeczeństwu polskiemu, które wciąż dyskutuje np. nad kwestią walki z kapitałem, nie rozróżniając kapitału jako kategorii ekonomicznej, wiecznej, mianowicie dóbr służących do dalszego wytwarzania, a kapitału jako kategorii historycznej, tej jego formy, która pozwala rozporządzać się cudzą pracą i wyzyskiwać ją. Otóż, wracając ad rem, twierdzę, że traktowałem pojęcie homo oeconomicus, jako pojęcie historyczne z epoki XIX liberalnego wieku, a p. N. potraktował go jako pojęcie ekonomiczne, t. z. wieczne. Dla ścisłości zaznaczam, że to sprecyzowanie pojęć przyszło mi do głowy dopiero po przeczytaniu interesujących i wnikliwych wywodów mego szanownego dyskutanta, a w szczególności jego ostatecznej konkluzji, która brzmi: „Homo oeconomicus radzi sobie rozmaicie. Zawsze wybiera według zasad Adama Smitha — drogę najmniejszego wysiłku *przy największych korzyściach gospodarczych* (podkreślenie moje). W Polsce wybrał on sobie drogę urzędniczą. Pracuje w administracji, która dziś skupia w sobie najlepszy i najwartościowszy element dynamiczny, duchowo należący do inicjatywy prywatnej, do owego homo oeconomicus".

Najprzód muszę tu wyrazić swój podziw i uznanie dla autora, który w momencie powszechnego „psioczenia" na biurokrację i etatyzm, wystąpił z takim komplementem pod adresem administracji państwowej w organie sfer gospodarczych.

Ale znowu muszę zarządać wprowadzenia paru precyzyj, inaczej, bowiem wywody autora można zrozumieć dwuznacznie, względnie zarzucić mu nieliczenie się z rzeczywistością. Mianowicie p. N. mówi tu o największych korzyściach gospodarczych przy minimum wysiłku. Prymityw myślowy mógłby to tłumaczyć, że urzędnicy przy minimum pracy osiągają największe zarobki. A wiemy, że tak nie jest i że zarobki w przedsiębiorstwach prywatnych są wyższe.

Dlaczegóż ten element, najwartościowszy i dynamiczny, duchowo należący do inicjatywy prywatnej idzie na służbę państwową? Pan N. mówi, że ponowne przeczytanie „Lalki" Prusa może starczyć uważnemu czytelnikowi za odpowiedź. Ja dam tę odpowiedź, czytając z księgi dzisiejszej rzeczywistości.

Homo oeconomicus XIX wieku, którego „uśmierciłem" w swym artykule, szukał „maksimum korzyści gospodarczych" dla siebie, a homo oeconomicus p. N. (sam tu określam różnice na podstawie wywodów autora) szuka „maksimum *rezultatu" w ogóle niekoniecznie dla siebie.* W tym bowiem rzecz, że praca na służbie państwowej daje o wiele większe pole do pracy, a więc i osiąganie większego efektu zewnętrznego, więcej wpływu na kształtowanie rzeczywistości, więcej nieraz pola do wykazania inicjatywy indywidualnej (chociaż nie prywatnej). I to dla pewnego typu ludzi jest ważniejsze niż osobiste korzyści gospodarcze. Dlatego np. urzędnik pracujący np. w dziedzinie reglamentacji zarabia 5 razy mniej, jak „chadataj po diełam" i nie chce zamienić się z nim na posady! Nie chce. Ambicja, chęć władzy, szerokie pole działania przeważają korzyści gospodarcze. Pan N. powiada, że to jest homo oeconomicus. W jego definicji — tak, ale to nie jest homo oeconomicus klasyczny, jest nim właśnie „chadataj po diełam", który istotnie osiąga maksimum korzyści przy minimum wysiłku.

A dodajmy do tego jeszcze kwestię swobody i twórczego wyżycia się, człowieka, który nie jest posiadaczem i nie ma własnego warsztatu pracy. Proszę prównać warunki pracy i stosunki osobiste w przedsiębiorstwach prywatnych, biurach kartelowych, zrzeszeniach gospodarczych i samorządzie gospodarczym z takimiż warunkami i stosunkami w służbie państwowej. Proszę sobie wyobrazić urzędnika biura kartelowego, czy samorządu gospodarczego, który w publicystyce pozwolił sobie na najlżejszą krytykę np. działalności karteli. Wyleci natychmiast. Prawda. A urzędnik państwowy może uprawiać rzeczową krytykę polityki urzędowej, oczywiście w ramach lojalności służbowej, zachowania tajemnicy urzędowej i przyjętych norm przyzwoitości, bez żadnych przykrych dla siebie konsekwencji. Najlepszy przykład — siedem lat istnienia „Gospodarki Narodowej".

Dlaczego tak jest? Może dlatego, że w polityce każdego normalnego rządu w normalnym państwie jest co najmniej 51% niezmiennej i niekwestjonowanej racji stanu i najwyżej 49% może być przedmiotem opozycji i krytyki, a działalność prywatno gospodarcza nie zawsze przekracza 50% zgodności z interesami zbiorowymi i dlatego boi się krytyki — dość, że

tak jest. Rezultat — ten, o którym napisał p. N. I jeśli zgodzić się z tem, że typ człowieka, który przekłada efektywność wysiłku, władzę, ambicję, godność osobistą (tak!), nad własne korzyści gospodarcze, nazywać „homo oeconomicus", to trzeba dla uniknięcia nieporozumień dodać — „asceticus".

Oczywiście „asceticus" należy rozumieć porównawczo, a nie literalnie (średniowiecznie).

Z. Szempliński.

USPOŁECZNIANIE TANTIEMY

System gospodarczy, oparty na zasadzie wolności w dysponowaniu środkami produkcji, jest niewątpliwie systemem trudnym do opanowania dla polityki społecznej. Istnieje niewspółmierność między ideami i celami, jakie przewodzą tej polityce, a techniczno-ekonomicznymi środkami, stojącymi do dyspozycji państwa w zakresie gospodarczym i stąd właśnie pochodzą wstrząsy gospodarcze, przypisywane zarządzeniom socj.-politycznym a również i często spotykana bezsilność takich zarządzeń wobec poczynań jednostki gospodarującej. Prawnicy mówią o omijaniu formalnie obowiązującego prawa bez naruszenia jakichkolwiek jego postanowień (praeter legem). Wydaje się nam, że ekonomiści i politycy życia społeczno-gospodarczego nie mogliby w podobnych wypadkach mówić o imijaniu zarządzeń gospodarczych i społecznych władzy publicznej bez naruszenia ich gospodarczej lub społecznej treści. Naruszenie to nie może — i słusznie — pociągać konsekwencji analogicznych do naruszenia prawa, ale pamiętać o tym zjawisku, winien każdy polityk - ekonomista, jeżeli pragnie jasno rozumieć, gdzie kończy się granica skuteczności jego decyzji. Dysponent środków produkcji — obejmujemy tym określeniem także dochody z nich płynące—a w szczególności dysponent kapitału uczyni wszelkie dopuszczalne wg. kryterium własnego interesu (czasem pozagospodarczego!) wysiłki, aby uniknąć zarządzeń gospodarczo-społecznych przeciwnych jego — dysponenta — własnym zamierzeniom i kalkulacjom. Powojenny wzrost reglamentacji i interwencjonizmu na terenie społeczno - gospodarczym — pomimo swych rozlicznych skutków dodatnich i ujemnych — nie zagarnął bynajmniej nawet drobnej części dróg, którymi dysponent środków produkcji może się wycofać lub wycofywać w wypadku zagrożenia jego interesów przez państwową polityke socjalną, bądź ściśle gospodarczą. Gdy ustawa nakłada podatek, obciążenie socjalne, lub inne — przedsiębiorcy podnoszą ceny, gdy cen podnieść nie mogą — próbują redukować koszty, gdy zaś koszty są całkowicie sztywne, wówczas rezygnują z jakichkolwiek dalszych inwestycyj, gdyby wreszcie do inwestycyj tych byli zmuszeni — to okazać się mogą gotowi do obniżenia gatunku produkowanego towaru, gdyby zaś i t.d. — to znów nastąpi reakcja i t.d. Sądzimy, że wypadki w których państwo osiąga zamierzone cele gospodarcze bądź socjalne *bez naruszenia* przez jednostki gospodarujące innych celów, nieraz nawet posiadających pierwszeństwo w hierarchii polityczno - gospodarczej—są rzadsze od wypadków, w których *naruszenie występuje* t.j. od wypadków zupełnej, bądź częściowej ucieczki środków produkcji od grożących im obciążeń. Przypominamy, że przez określenie „środki produkcji" rozumiemy także dochody, jakie one dają posiadaczom.

Nie zamierzamy twierdzić, że obciążenie interesów prywatno - gospodarczych na rzecz publicznych jest bezskuteczne. Ściśle rzecz biorąc zawsze przynajmniej pewien skutek wywrzeć ono musi, a mianowicie pod postacią współudziału ujemnego (bądź ewent. dodatniego!) przedsiębiorstwa obciążonego w przemianach całości gospodarstwa, spowodowanych obciążeniem. Normalnie jednak zarządzenia społeczno-gospodarcze zmierzają właśnie do ograniczenia zakresu swych skutków i dlatego mniemamy, że uniemożliwienie ucieczki środków produkcji przed grożącymi im obciążeniami, stanowi szczególną trudność dla polityki gospodarczej i socjalnej w systemie wolnej dyspozycji środkami produkcji, a zatem — i w współczesnych stosunkach ekonomicznych.

Trudność nie oznacza niemożliwości. Nasze przekonanie, że trudność ta nie zostaje najczęściej przezwyciężona przez politykę społeczno - gospodarczą jest wyłącznie stwierdzeniem pewnej oceny metod dotychczas stosowanych. Ocena nasza jest zresztą ściśle techniczna: sądzimy, że praktykowana technika stosowania praw ekonomicznych okazuje się zbyt prymitywna, choć przyznać należy bezzwłocznie, że elementy ściśle polityczne mogą decydować o stosowaniu metod chybionych ekonomicznie. Wobec jednak wybitnej przewagi polityków nad ekonomistami — może jeszcze bardziej zdecydowanej u nas, niż gdzieindziej — jest rzeczą ekonomistów okazać niezależność własnego myślenia od potrzeb formułowanych przez polityków. I dlatego pragniemy podkreślić na tym miejscu, że polityka socjalna, podobnie jak polityka gospodarcza w ogóle, może wydać tylko wówczas oczekiwane rezultaty, jeśli będzie oparta o doskonałą technikę ekonomiczną.

Te uwagi mogą posłużyć za wstęp i oświetlenie jednego z postanowień niemieckiej Ustawy o Spółkach Akcyjnych i Komandytowo - Akcyjnych, które wejdzie w życie na jesieni b.r. Cała ustawa jest próbą zastosowania koncepcyj narodowo - socjalistycznych do prywatnego wielko-kapitalistycznego życia gospodarczego — jak mamy wrażenie — próbą... dziwną. Ustawa będzie zapewne musiała w najbliższych latach albo ulec podstawowej przeróbce, albo co pewniejsze zostać uzupełniona nader daleko idącą, drobiazgową kontrolą prawno - publiczną.

Wśród postanowień mających nadać ton narodowo-socjalistyczny wspomnianej ustawie wysuwa się na czoło — poza zasadą przywództwa — postanowienie o wynagrodzeniu tantiemowym członków rad nadzorczych i zarządów spółek akcyjnych. Wysokość tantiem została uzależniona od wysokości t.zw. dobrowolnych świadczeń socjalnych (freiwillige soziale Leistüngen), a to dzięki przyjęciu zasady, że tantiemy i

„świadczenia dobrowolne“ muszą stale pozostawać w pewnym ściśle określonym „dopasowanym“ (angemessenes) stosunku. Wprawdzie w chwili obecnej nie wiadomo jeszcze, jaki ma być ten stosunek i na czyją specjalnie korzyść mają być dokonywane „świadczenia dobrowolne“, istnieje jednak wiele danych, aby przypuszczać, że postanowienie ustawy dotyczyć będzie przede wszystkim poważnych świadczeń na rzecz własnego personelu pracowniczego spółki akcyjnej. Tak sądzi np. „Der Deutsche Volkswirt“.

Zatem tantiemy pozostały, członkowie zarządu i rad nadzorczych mogą być nadal zainteresowani wykorzystywaniem swej wiedzy, a zwłaszcza stosunków... dla dobra swych spółek akcyjnych, ale muszą z poważnej części swych korzyści zrezygnować na rzecz rzeszy pracowniczej t.zw. Gefolgschaft‘u. Ogiędne komentarze niemieckiej prasy gospodarczej są jednak wystarczająco jasne, aby czytelnik zorientował się, że choć idea jest piękna, lecz tantiemy niełatwo dadzą się od niej uzależnić. Zagrożone interesy będą bronione, zwłaszcza, że jednocześnie ilość rad nadzorczych, w których jeden osobnik mógł zasiadać, została ograniczona do 10 (dotychczas 20). Już z tego tytułu dochody tantiemowe mogą się zmniejszyć np. o połowę dotychczasowej wysokości, czyż więc zainteresowani „tolerować“ będą wbijanie dalszych gwoździ do swych... foteli!?

Korzystając ze zmniejszonej konkurencji na rynku doświadczenia gospodarczego i stosunków (wobec „zarezerwowania“ poszczególnych działaczy gospodarczych dla najwyżej 10 spółek!), członkowie zarządów i rad nadzorczych mogą tem łatwiej realizować możliwość wyższego, niż dotychczas uposażenia stałego, niezależnego od dochodowości przedsiębiorstwa. Zastosują podwyżkę być może jeszcze przed 1 października, t.j. datą wejścia w życie nowego prawa akcyjnego, aby nie wywoływać zbędnych dyskusyj i tarć. Wszak takie postępowanie wchodzi w zakres obowiązków kierownictwa każdej spółki! Zresztą nie należy do rzeczy specjalnie trudnych podwoić np. zakres prac i wysiłków zarządu bądź rady nadzorczej celem podwojenia wynagrodzeń. Niewątpliwie będą repercusje wtórne całokształtu życia ekonomicznego, będą trudności i kłopoty, będzie pewna ilość „poszkodowanych“ i pewna dodatkowa strata... czasu — tak jak zawsze bywa w wypadku radykalnych — pod względem przepisów prawa — interwencji państwa w życie gospodarcze, jednak gros dotychczasowych dochodów tantiemowych wyjdzie napewno bez uszczerbku z socjalizujących zakusów nowego reżimu.

Pracownicy spółek akcyjnych zyskają dodatkowe „dobrowolne świadczenia“ ze strony swych przełożonych, przełożeni unikają strat przez umiejętną dyspozycję tym niezwykłym środkiem produkcji, jaki stanowi praca w zarządach i radach nadzorczych, a ponieważ ktoś zapłacić musi cenę „dobrowolnych świadczeń“ — więc zyski zmaleją na niekorzyść drobnych akcjonariuszy, nie biorących udziału w stałym kierowaniu spółki. Takim może okazać się skutek ekonomiczny uspołeczniania tantiem przy pomocy „dobrowolnych świadczeń“.

Dodajemy, że będzie to wyłącznie skutek *ekonomiczny* i krótkofalowy skutek społeczny, występujący przede wszystkim w kilku — kilkunastu najbliższych latach. Czy skutek socjologiczny, skutek społeczny rozważany w skali kilkudziesięcioletniej, byłby równie mało zechęcający?

Raczej nie, raczej byłby on krokiem na przód w kierunku uspołecznienia psychiki zbiorowej i mógłby wywrzeć wpływ na *ogólny* przebieg ewolucji ekonomicznej. Narodowo - socjalistyczne próby uspołeczniania tantiemy mogą być zatem godne uwagi socjologa, lecz dla technika życia gospodarczego — ekonomisty — są to jeszcze próby prymitywne.

wld. pt.

NOTATKI

NA BEZROBOTNYCH, CZY NA INNE CELE?...

P. acp. w Nr. 3 „G. N." z dn. 1.II. 37. wyraża żal, że „opłaty celowe" mogą utonąć w budżecie i nie dojść do celu, dla którego były zbierane.

A no mogą. To już jest tragedią buchalterii supełkowej, że może kucharka poplątać drobne w prawym rogu chusteczki — od pani starszej, na paczulę — z drobnemi w lewym rogu — od panicza na papierosy. Suma wydatków konsumpcyjnych rodziny wskutek takiej omyłki ani nie spadnie, ani się nie podniesie. I pani starsza i panicz nie są gospodarczo czynni i ich siła nabywcza pochodzi od pana starszego — jedynego zarobkującego. Ale dla kucharki, zwłaszcza analfabetki — może to być tragedią, bo źle wyda resztę.

Budżet powinien obejmować jeśli nie całość obciążeń publicznych, to całość obciążeń, którymi administruje państwo. Jedno tylko społeczeństwo wypłaca z siebie tę nadwartość, którą państwo administruje w postaci budżetu i na najpilniejsze jego potrzeby obraca. Dlatego zasada jednolitości budżetu jest słuszna i parcelacja budżetu na poszczególne folwarki czy jurydyki jest albo dowodem mentalności kucharki analfabetki lub jawną nieuczciwością — mąceniem wody.

Ale — opłaty pobierane były na specjalny cel. Otóż to. W kraju, gdzie nie obowiązuje odwaga cywilna (krzyż Virtuti Militari został w Polsce wznowiony, medal Virtuti Civili, broń Boże, nie) a obowiązują nieżyciowe konwenanse — nie wolno podnosić podatków, — ale za to wolno wprowadzać „opłaty celowe". Nie kijem go, to pałką.

P. acp. słusznie zrobił, że poruszył zagadnienie niechlujstwa budżetowego. Ale uczynił to jak człowiek, który widząc niezgodność dwóch zasad, nie widzi której z nich przyznać nadrzędne znaczenie.

Nadrzędne znaczenie ma nie groszowa uczciwość w odprowadzaniu wpływów na właściwe cele, a rzetelność w nakładaniu opłat i odwaga cywilna w nazywaniu podatków, podatkami — bez eufemizmów. Nadrzędne znaczenie ma jednolitość budżetu i jawność obciążeń publicznych.

Bez jurydyk i bez folwarków.

a. t.

Z LITERATURY

Tytuł pewnego interesującego miesięcznika finansowego — mam na myśli „Bank" — może wprowadzić w błąd tych ewentualnych czytelników, którzy by sądzili, że znajdą tam wyłącznie analizy bilansów, metody organizacji pracy bankowej itp. — ściśle fachowe rozprawy. Otóż nic podobnego. Ja np. znalazłem ostatnio w „Banku" (signum: B. K.) doskonałą pod względem literackim próbę omówienia mej broszurki p. t. „Kredyt i Koniunktura. Położenie gospodarcze Polski w okresie 1925 — 1935 na tle poglądów G. Guillaume'a" (wyd. Gospodarki Narodowej).

Ze względu na charakter zamieszczonych na tym miejscu artykułów i wiadomości zmuszony jestem — choć zadanie niełatwe — do podchwycenia jedynie wątka ekonomicznego w impresjach pana B. K.

Zdaniem p. B. K. jest „poniekąd truizmem", (do którego sprowadza on metodę Guillaume'a), że „wzrostowi obiegu i kredytów (zadłużenia) towarzyszy ożywienie i wzrost zysków w przedsiębiorstwach, a spadkowi zadłużenia towarzyszy recesja i kryzys". Nie jest to ścisłe, gdyż tylko ten wzrost zadłużenia — zdaniem Guillaume'a — działa ożywczo, który przekracza sumę obsługi (procentów i amortyzacji) zadłużenia dotychczasowego (str. 11 i 12 omawianej broszury). Następnie nie wiadomo mi, aby ktoś inny — uwzględniając także p. B. K. — formułował twierdzenie, że taka *nadwyżka* pozytywna lub negatywna (negatywna — gdy nowe zadłużenie jest mniejsze od obciążenia długów dotychczasowych) jest w wprostproporcjonalnym stosunku z zysków lub strat per saldo realizowanych przez ogół przedsiębiorstw kraju (str. 16 i 17), i że związek ten ma charakter mechaniczno - matematyczny, a zatem niezależny od czynników psychologicznych (str. 4). Gdyby nawet mimo powyższe istotne i zrozumiałe dla ekonomisty różnice przyjąć, że truizm pana B. K. jest identyczny z twierdzeniem Guilleume'a, to idąc za myślą p. B. K. sądzić należało by, że kraj nasz od 1929 r. oparł swą politykę gospodarczą na jakichś fantazjach, skoro nie uwzględniono w niej truizmu ekonomicznie podstawowego — t.j. rzeczy tak oczywistych i znanych, że nawet banalnych (proszę por. Słownik Wyrazów Obcych Arcta!). Niesposób więc zrozumieć dlaczego o kilka wierszy niżej p. B. K. sądzi, że broszurka zawierająca truizm (bo do przytoczonego wyżej stwierdzenia oczywistości „sprowadza" p. B. K. jej treść!) „może raczej zwiększyć chaos myślowy u tych, którzy wierzą w zbawienie Polski przez inflację kredytową".

Nie wczuwam się może w umysłowość tych ludzi, ale w ogóle nie pojmuję w jaki sposób truizm ekonomiczny, zamiast do właściwych wniosków, mógłby prowadzić do chaosu. Albo bowiem uznajemy, że rzeczy rozumne są dodatnie, albo że są ujemne — i odpowiednio je oceniamy. Na czem opiera swą ocenę p. B. K.?

Drugi błąd tejże natury logicznej i metodologicznej wynika stąd, że to co p. B. K. nazywa truizmem (że „wzrostowi obiegu i kredytów towarzyszy ożywienie... i t. d."), jest prawie na pewno inflacją kredytową, o której przed chwilą wydał niekorzystną opinię.

Dalszą sprzeczność w biegu myśli p. B. K. widzę w twierdzeniu, że „studium p. Ptaszyńskiego jest ciekawe, a nawet do pewnego stopnia pouczające tylko dla tych, którzy rozumieją fragmentaryczność badanych przez tego autora zjawisk". Dlaczego? Truizmy są przecież powszechnie znanymi stwierdzeniami oczywistości, dla kogóż zatem mogłyby być „ciekawe", a zwłaszcza „pouczające"?! Zresztą broszurkę moją pisałem dla tych, którzy rozumieją fragmentaryczność... *wszelkich* badanych zjawisk ekonomicznych. Zrozumienie to jest w mym mniemaniu pewnego rodzaju kryterium inteligencji.

Nie jest to niestety koniec niekonsekwencyj i nieścisłości p. B. K.

Zaznacza on w sposób bardziej niż kategoryczny, że nie zgadza się z przeczytaną w prasie codziennej notatką, w myśl której broszurka moja „omawia tętniące życiem zagadnienie współczesnej polityki gospodarczej". Powszechnie wiadomo, że współczesna polityka gospodarcza Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Anglii (por. str. 18) a ostatnio i Francji, zmierzająca w pierwszym rzędzie do rozładowania bezrobocia (czyżby zbyt słabo tętniło życie w tym problemie?), oparta jest na t. zw. ekspansji pieniężnej (określenie zapożyczone z publikacyj Ligi Narodów). W wymienionych krajach powiększa się kredyty, zaciąga się pożyczki, obniża się stopę procentową, konwertuje i konsoliduje się zadłużenie dotychczasowe, przeprowadza się oddłużenie bądź przez dewaluację i ruch cen, bądź bezpośrednio (por. str. 14 i 15) — a wszystkie te zarządzenia zmierzają do powiększenia względnie wytworzenia t. zw. przez Guillaume'a pozostałości pozytywnej zadłużenia. Są to chyba dla ekonomisty „tętniące życiem zagadnienia współczesnej polityki gospodarczej"! Czyżby więc p. B. K. — skoro zaprzecza tym oczywistościom — nie był łaskaw przeczytać mej broszurki, co prawda bezwartościowej jako pierwsze wprowadzenie do zagadnień ekonomicznych!?

Ta wątpliwość znajduje uzasadnienie nie tylko w wyżej przytaczanych niezgodnościach, lecz i w fakcie, że p. B. K. nie omawia rzeczy najważniejszej, która skłoniła mnie w ogóle do opracowania „Kredytu i Koniunktury" (por. Wstęp str. 1 i 2). Myślę o wykresie syntetyzującym wyniki obliczeń statystyczno-matematycznych, dotyczących gospodarstwa polskiego w latach 1925 — 1935 (por. cytatę niżej). Z drugiej strony nie wiem, dlaczego p. B. K. nie zechciał ogłosić swych impresji krytycznych na temat podsunięty mu we wstępie (str. 1), gdzie pisałem: wyniki obliczeń dokonanych dla Polski, są na tyle znamienne i interesujące, że wobec nich na drugi plan schodzą poważne luki jak np. pominięcie zagadnienia oszczędności..."

Moje uwagi nie powinny zniechęcać p. B. K. do publicystyki, zwłaszcza że płyną one jedynie (i dlatego są tak długie) z chęci podziękowania mu za dostarczoną mnie okazję do publicznej dyskusji nad „Kredytem i Koniunkturą". Poza wyżej przytoczonymi zastrzeżeniami wyłącznie ekonomiczno - metodologicznymi — artykulik pana B. K. może dać ewentualnym czytelnikom pewną ilość zadowolenia estetycznego dzięki żywości stylu i lekkości formy. Pod tym względem tak bardzo mi się on podobał, że ręczyć nie mogę, czy aby nie powtarzam zwrotów i określeń literackich w nim użytych. Ekspresja włożona przez p. B. K. w ten niewdzięczny temat — jakim okazała się moja broszurka — pozwala żywić nadzieję, że autor z czasem będzie mógł z pożytkiem pracować na terenie publicystyki literackiej.

wld. pt.

DOBRE RADY

Skłonność do udzielania rad swoim bliźnim leży na ogół głęboko w naturze ludzkiej, to też sądzę, że „Goniec Warszawski", uwzględniając tą ludzką słabość, odniesie się wyrozumiale do autora poniższych nieproszonych rad.

W jednym z numerów wspomnianego dziennika przeczytałem wiadomość, dotyczącą przesiedlania się kupców poznańskich do Małopolski. Notatka pisma na ten temat zawierała takie określenia jak „najazd kupców poznańskich na Małopolskę" oraz zwrot, że poznaniacy „biorą odwet" za najazd urzędników z Małopolski i Kongresówki.

Zaznaczam odrazu, iż mój stosunek do omawianego faktu jest również pozytywny jak „G. W.", ale właśnie dlatego terminologia „G. W." wybitnie mi się nie podobała. Polska jest jedna i naród polski jest jeden, wewnętrzna migracja obywateli jednego państwa jest zjawiskiem zupełnie normalnym, a w państwie przedzielonym przez 1½ w. kordonami granicznymi, szczególnie pożądanym jako przejaw organicznego zrastania się. To też słowo „najazd" razi mój słuch. To słowo jest pozostałością pierwszych lat braku przyzwyczajenia się do siebie ludności trzech b. zaborów i nadmiernego nasilenia antagonizmów dzielnicowych. „G. W." w najmniejszym nawet stopniu nie reprezentuje poglądów i interesów dzielnicowych i akcentuje swoje nacjonalistyczne, a więc ogólno - narodowe stanowisko. To też sądzę, że właśnie z jego stanowiska należało by pisać „napływ (czy przesiedlanie się) kupców polskich (nie poznańskich) z Poznańskiego do Małopolski". Co się zaś tyczy owego „odwetu" to chyba wszyscy rozumiemy, że w pierwszych latach naszej niepodległości jedynie Małopolska posiadała „zapas" ludzi, mających przygotowanie do służby urzędniczej i że stąd wynikał „najazd" „galicjaków" na inne dzielnice Polski. Dziś jest koniunktura na polskich kupców i rzemieślników, a tych ma najwięcej Poznańskie. Słuszniej więc byłoby napisać np., że w międzydzielnicowym „obrocie" ludźmi Poznańskie przestało być bierne, że przeszło do ekspansji na inne dzielnice w dziedzinie, w której jest najsilniejsze, w której ma najwięcej do powiedzenia.

r. s.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.